Banalne historyje - fragment z prawie powieści

Pamiętam jak pierwszego dnia, kiedy to szedłem wzdłuż szerokiej i głośnej ulicy sam z hukiem odbijałem się w mijanych witrynach sklepowych. W warkocie autobusów, które wypchane ludźmi do ostatniej pustej przestrzeni ledwie przebijały się światła na przejściach, szedłem lekko chwiejnie, ale uparcie do przodu.
Pamiętam każdy fragment z tamtej godziny, a właściwie nie, nie pamiętam nic.
Było głośno, okrutnie głośno i w miarę chłodno na tę porę roku. To był maj, albo koniec kwietnia, nie pamiętam (wspominałem już o tym), ale chyba kurtkę miałem zapiętą pod samą szyję a spodnie ściągałem do siebie udami, szeleściły, jak to dżinsy, albo sztruksy, no właśnie…

Potem zapamiętałem, że była to ulica Grójecka, z perspektywy czasu, teraz - nie podjąłbym się już takiego marszu, od Banacha na Powiśle… kawałek… ba…
Ale wtedy szedłem roztargniony emocjami, rozpalony wewnętrznie kakofonię szumów. Szybko stygłem, w końcu było zimno, ale szedłem do przodu podziwiając wysokie w nieskończoność budowle z powierzchnią biurową do wynajęcia, kamienice, które tak znajomo pachniały stęchlizną
i moczem, łuki estakad, rwące strumienie głównych ulic tego miasta, brutalność architektoniczną dworca centralnego i wystrzeliwujący w niebiańskie poszycie PeKiNu. Wydawało mi się, że mknąłem, tymczasem tamtejsi ludzie byli szybsi i zdecowanie bardziej zwiewni w ruchu, zmianie biegu, kierunku… Poczerwieniałem z furii, w końcu deptałem przez ponad pięć lat po krakowskim bruku z incydentalnym wykorzystaniem środków komunikacji miejskiej. Tutaj ONI odbierali mi tą wykwalifikowaną umiejętność, obdzierali ją ze skóry - „pro” na „amator” -...!

Wtedy jeszcze przystawałem aby zafajurzyć, wykorzystywałem to skrzętnie ukrywając się w wyłomach mijanych kamienic, czułem się bezpieczniejszy, jakoś, te wilgotne przytulanie niosło otuchę, podawało chrupiące pieczywo, masło, miód i ciepłe mleko. Zaciągałem się mocno, pod samą wątrobę, tak, jakbym chował się w tworzonych przeze mnie kłębach dymu, aby po chwili zamaszyście wkroczyć
w nadprzestrzeń.
Na wysokości palmy poruszałem się już trochę sprawniej - szczerzyłem się w uśmiechu. Przebijające przez nią światło otuliło mnie ciepłym objęciem, aby kopniakiem przywitać przy pierwszym zderzeniu
z INNYM poruszającym się w przeciwnym kierunku niż ja. To był jakiś facet, albo kobieta, a może słupek, którym najeżone było rondo… zaczęło boleć na wysokość tuż powyżej kolana na lewej nodze.

Pierwszej nocy w nowym miejscu zastanawiałem się co ja tutaj robię, właściwie działo się wiele rzeczy, więc pewnie była to jedna z tych myśli, która się kłębiła, gdy ja płonąłem z ekscytacji i wylewałem to

czerwienią na swoją własną twarz. Płoniłem się na zawołanie, gdy w międzyczasie całe miasto tętniło życiem i korytarze czasowe zamykały się i otwierały, jakby były częścią machiny wojskowej. Myślałem wtedy – *...! z kulturą, człowiek musi z czegoś żyć, nie da się wykarmić rodziny ideami.* Moje odbicie w lustrze powtarzało te słowa jak mantrę w takt tej nowej muzyki, o której wiedziałem tyle, że w momencie, gdybym był pod wpływem tych nowoczesnych chemicznych wynalazków bawiłbym się dalej niż świetnie. Tymczasem byłem z innej epoki, tej, gdzie płynący miód, okowita, nie wyklarowane wino wyznaczały czas i przestrzeń – mój zestaw bimbrowniczy, proces fermentacji 2 miesiące. Zostało mi to wszystko we krwi, irytująca spuścizna, która krążyła w moich żyłach…

Dziwnym trafem **znalazłem kwaterę** w okolicy, która od pierwszego wejrzenia była nam bliska. Ochota z którą zamierzałem współżyć przemawiała do mnie dwudziestolatkowym bagażem ulicy, pamiętam te bruzdy wyrzeźbione w płaskim krajobrazie mającym na celu odprowadzenie strumieni, które jak później okazało nie tylko na wyspie polsko-ochoczej płynęły z nieba więcej niż często.
To były pierwsze doświadczenia ze stropem na wysokości 1.50, wtedy jeszcze przyzwyczajony do kamienic, gdzie Wyspiański posiadał swoją błękitną pracownię musiałem zderzyć się czołowo z tym oburzającym życiem skrzata. Dobrze, że moje rozmiary i brzuch wtedy były niewielkie, dzięki temu mogłem się tam zwyczajnie pomieścić…

[...]

© KOZIOŁ